

PAMIĘTNIKI EDWARDA GORONA

b. prefekta paryskiej policji śledczej

(Ciąg dalszy)

Przedewszystkiem udałem się na poszukiwanie pana Martina-Felliera, deputowanego Rennes, byłego mera naszego miasta, znajdującego moją rodzinę, pokładałem w nim wielkie nadzieje. Kiedy pan Fellier, który mnie przyjął bardzo serdecznie, zapytał, jakiego rodzaju zajęcie pragnąłbym otrzymać, to w jednej chwili nowu ozwała się we mnie dawna namietność i włożyłem po świecie i prosiłem go o miejsce na jednym z transatlantycznych parostatków. Mój opiekun napisał list, w którym gościł mnie polecał, obiecując oprócz tego osobiste przemówienie za mną w zarządzie Towarzystwa W oczekiwaniu błogosławionych skutków przewidzianych starań, na razie osiadłem u jednego ze znajomych oficerów, wyglądając niecierpliwie lepszych czasów.

Pewnego wieczora, kiedyś czytałem w kawiarni gazetę, zwróciłem uwagę na ogłoszenie następującej treści: „Pan L. B. ulica Świętego Dyonizego Nr taki i taki, znajduje miejsca wszystkim tym, którzy się do niego zwracają”. Zaintygowany tym anonsem, zaraz nazajutrz udałem się pod wskazany adres. Przyjął mnie nader wytworny młodzieniec, który rzucił na mnie dość niedowierzające spojrzenie na mój strój, ale następnie z uwagą i widocznym zainteresowaniem się wysłuchał mojej opowieści.

Panie! — przerwał mi po chwili — patrz na pana i wprost się dziwię. Taki człowiek, jak ja, przy swoim doświadczeniu, znajdzie setkę miejsc. Z prawdziwym zadowoleniem zajmę się pańską sprawą i znajdę panu miejsce conajmniej za 500 franków miesięcznie. Ale właśnie dlatego, musi mi pan wnieść uprzednio dwadzieścia franków, jako zadek.

Z radością położyłem nastół jedną z ostatnich moich złotych dwudziestofrankówek, podziwiając umiarkowanie tego szanownego człowieka, żądającego stosunkowo tak nie wiele, za tak znaczną przysługę i z nowymi nadziejami powróciłem do domu. A tymczasem mój opiekun — deputowany, zawiadomił mnie, że Towarzystwo, aczkolwiek jest gotowe powierzyć mi miejsce komisarza, o które prosiłem, ale, nie rozporządzając narazie żadnym wakaniem, prosi, bym był cierpliwy jeszcze przez parę miesięcy.

Rzecz prosta, że mi to bynajmniej nie dogadzało i, mocno rozczarowany, już zamierzałem pożegnać pana Felliera, kiedy ten, po krótkim namyśle, znów mnie zapytał:

— Pozwól pan, mówiliśmy o miejscu komisarza; a możeby pan chciał otrzymać miejsce komisarza policji? Jestem w doskonałych stosunkach z prefektem policji, i panem Andrieux, i on napewno nie odmówi mi tej przysługi.

Zgodziłem się z radością i natychmiast udałem się do prefekta, któremu wyłożyłem prośbę swą i, w ślad za tem, zapewniwszy sobie polecenie jednego z moich przyjaciół, przedstawiłem się panu Cobes, naczelnikowi policji municypalnej.

— Bardzo się cieszę — powiedział, przyjmując mnie z dobrodusznym uśmiechem — bardzo się cieszę i nawet natychmiast załatwię sprawę pańską, ponieważ właśnie rozporządzam wolnym miejscem dozorca policyjnego.

Wobec zupełnej z mojej strony nieświadomości wszystkiego, co się policji tyczy, poczułem się nader zadowolony, z powodu tej nominacji i pośpieszyłem zameldować się naczelnikowi personalnego składu policji, panu Boissenau, który, wysłuchawszy mnie rozważnie, roześmiał mi się w oczy.

— Dozorcą policyjnym! Pan — kapitan armii terytorjalnej? Ależ posłuchaj mnie pan — to jest niemożliwe! Przecież dozorca policyjny — to agent niższego rzędu, coś w rodzaju szeregowca policji! Nie! jest to widocznie nieporozumienie. Mojem zdaniem, powinien pan zdać egzamin na sekretarza.

Podziękowałem panu Boissenau i rzeczywiście niebawem zdałem ów egzamin, nie za-

palając się jednak do tego nadmiernie, byłem bowiem przekonany, że w powołaniu moim nie zagrożę. A przylem, szczerze mówiąc, pokładałem wielkie nadzieje w owym legomosciu z ulicy Świętego Dyonizego, którego, nawiasem mówiąc, dzień w dzień jaknajakuratniej odwiedzałem.

Z początku przyjmował on mnie rzeczwiście z wyjątkową uprzejmością, obiecując zaraz następnego dnia, przedstawić księciu N. w charakterze jego plenipotentą; ale za każdym razem obiecywał mi uczynić to zaraz nazajutrz i, kiedy pewnego dnia począłem szczególnie na to nalegać, odrazu krzyknął: Idź pan, kochany panie, na zbity łeb! Nie mam dla pana żadnego miejsca!

Wszystko zawrzało we mnie, ale się oparowałem i odpowiedziałem mu dość spokojnie:

— Naturalnie, że pójdę, dotąd mi się spodobają, ale przedewszystkiem proszę, zwróć mi pan, moje dwadzieścia franków.

W odpowiedzi na to wytworny młodzieniec parsknął mi śmiechem w oczy i, nie wiele myśląc, wypchnął mnie z gabinetu, zatraskując za sobą drzwi. Krew rzuciła mi się do głowy, i już zamierzałem rozprawić się z łotrem po amerykańsku, przy pomocy samosądu, ale rozsadek wziął we mnie górę i postanowiłem uciec się do tej władzy, której przedstawiłem miałem zostać w najbliższym czasie.

Obmyśliłem z zimną krwią cały plan działania i przedewszystkiem rozpocząłem od posłania mu przez ordynansa mojego przyjaciela — oficera karteczki następującej treści:

„Łaskawy Panie! Jeżeli nie doreczy pan natychmiast oddawcy słów niniejszych dwudziestu franków, któreś po łajdacku wyłudził ode mnie, to jeszcze dziś wieczorem podam na pana skargę do prokuratora”.

Bardzo mnie to ucieszyło, kiedy ordynans przyniósł mi moje dwadzieścia franków, zwłaszcza że gotówka moja była na wyczerpaniu, i być ze mną djabło krucho, a łatałem biedę z dnia na dzień, nie chcąc zwracać się o pomoc do krewnych, którzy i tak zrobili dla mnie bardzo wiele.

Nazajutrz otrzymałem papier z prefektury, wzywający mnie do stawienia się, na ul. Viarme, do biura pana Daudiau, komisarza okręgu des Halles, do którego zostałem odkomenderowany, w charakterze nadetatowego sekretarza. Nareszcie więc będę miał miejsce, choćby nawet skromne — pomyślałem sobie; i, podniesiony na duchu, udałem się do komisarza.

Pan Daudiau, będący już przez długi szereg lat komisarzem okręgu des Halles, był to człowiek poczciwy aż do szpiku kości. Przyjął mnie jaknajserdeczniej, aczkolwiek z lekkim uśmiechem zlustrował mój oryginalny kostium, przypominający strój kalabryjskiego bandyty. Wysłuchawszy opowiadania o wszystkich moich podróżach i przygodach, odpowiedział mi jaknajuprzejmie:

„Drogi panie! zdaje mi się, że służba w policji nie będzie jednak dla pana odpowiednia. Już się pan przyzwyczaiłeś do pewnej niezależności, co z trudnością daje się pogodzić ze służbą tego rodzaju. W oczekiwaniu ostatecznej pańskiej decyzji, daję panu dwa dni czasu do namysłu i sądzę, że jeżeli pan gruntownie rozważy całą sprawę, to Go już więcej u siebie nie zobaczę.

W ciągu tych dwu dni, w samej rzeczy poważnie przemyślałem ową kwestję i powziąłem stanowcze postanowienie. Nie miałem nigdzie napiętego innego uczciwego zajęcia, czując zaś w sobie dostateczną siłę woli, aby nawet zmienić swój charakter, na trzeci dzień udałem się do mojego nowego naczelnika.

Jak to, to pan? — zagabnął mnie pan Daudiau, — a ja, przyznam się szczerze, myślałem, że pan już nie wróci. Ano, cóż, jeżeliś pan już tu przyszedł, to może się pan zajmie sprawą, tembardziej, że początek będzie wcale

interesujący. Zaprojektuję pan, podyktowane przez mojego etatowego sekretarza, pierwsze badanie pewnego bardzo sprytnego oszusta, którego niedawno aresztowano.

Pożegnałem pana Daudiau i powróciłem do pokoju sekretarza, gdzie natychmiast zabrałem się do pracy, z mimowolnym nabożeństwem, przejęty poczuciem wagi powierzanych mi państwowych czynności. Wiem otworzyły się drzwi i — kogoż to zobaczyłem między dwoma policjantami?

Był to mój znajomy, pan B., zarządzający agenturą na ulicy Świętego Dyonizego, ów wytworny młodzieniec, który przed paru dniami kazał mi iść precz, na zbity łeb!

Poznał mnie natychmiast i, spojrzawszy na mnie, z pełnem podziwu zdziwieniem, krzyknął: A teraz, to już rozumiem! a to spryciarz z pana! a więc ty dlatego przyszedł pan do mnie Winszuję.

Nie mnie, od niego skonsternowany, starałem się go przekonać, tłumacząc mu, że sam dopiero zaledwie przed godziną wstąpiłem na służbę do policji.

Opowiadaj to pan innemu, — odrzekł — ale bądź pan spokojny — już się nie wysypie po raz który:

Kiedy niebawem wszedł p. Daudiau i powiadomił go o wszystkim, to c. mało co nie pękł ze śmiechu, a potem nadmienił: „Kochany przyjacielu! Stanowczo nie ma pan szczęścia na początek, a zresztą już to panu powiedziałem, że nie jesteś stworzony dla policji”.

Wobec mojego oświadczenia, B. został zbadany przez samego komisarza, aczkolwiek nie wiele zyskał na tem, zasądzono go na roczne więzienie, no i ostatecznie nie przestawał być przekonany, że to ja właśnie poleciłem go aresztować.

Mniej więcej w rok potem szedłem przez ulicę Montmartre i, chcąc ukryć się przed deszczem, wszedłem do bramy; rzucił mi się wówczas w oczy jakiś wybladły, chudy osobnik, który nie spuszczał ze mnie wzroku. Okazało się, że był to stary mój znajomy, z ulicy Świętego Dyonizego.

No i cóż? — zapytałem go ze współczuciem, — czy skończył się panu termin kary i co pan teraz porabia?

— Ach, Panie! — odpowiedział mi z westchnieniem, — przecie to panu mam do zawdzięczenia moje więzienie.

— Myśl pan sobie, co się panu podoba — odrzekłem mu — jest mi to obojętne, ale daję panu słowo, że nie umaczałem palców w pańskiej sprawie.

Z niedowierzaniem spojrzał na mnie, ale moje słowa przepojone były taką szczerością, że spuścił głowę i wyszeptał: Czyż to jest możliwe taki zbieg okoliczności?

Naturalnie, dodam tu o siebie, że taki zbieg okoliczności jest możliwy. „Całe życie pełne jest niespodzianek i zbiegów okoliczności. Przypadek czy też los, mniejsza tu o terminologię, — to najlepszy sprzymierzeniec policji. Na niego najczęściej liczyć trzeba i, zawdzięczając przypadkowi, wychodzą zazwyczaj na jaw sprawy najbardziej zaplątane, zamierzenia najbardziej zbrodnicze.

Pewnego wieczora pan Daudiau wziął mnie na stronę i prosił o stawienie się u niego o wpół do dziesiątej, by wybrać się z nim razem w ważnej sprawie. Rzecz polegała na tem, że poruczono mu ujęcie całej szajki spiskowców, zbierających się w pewnej niewielkiej kawiarni przy ul. Montorgueil. Poruczenie to gościło mnie zainteresowało i zamyślałem o tej sprawie nie bez skrytego wzruszenia: przed moją wyobraźnią zarysowywała się już rozpaczliwa obrona spiskowców, wystrzały pistoletowe i t. d. Ale w rzeczywistości, ku wielkiemu mojemu rozczarowaniu, wszystko to odbyło się o wiele prościej.

(D. c. n.)

TREŚĆ: Mapa Polski w dniu objęcia rządów przez Józefa Piłsudskiego a w dniu 19. III. 1920. — Od Redakcji. — G. Daniłowski: Józef Piłsudski — Aleksander Kronski: Historyczny dom. — Tadeusz Wolfenbut: W sprawie ogólnego wykształcenia policji. — Przestępczość w Polsce, stręcił Z. Trzebiński. — Straż ogniowa, zebrał i ułożył T. Modrzejewski. — M. Cederbaum: Przegląd polskiego ruchu rewolucyjnego po powstaniu 1863 r. — Jan dr. Schneickert: Portret z pamięci — Z powodu „Uwag” W. Długoskiego. — Jan Riabinin: Komisja policji obojga narodów. — Obwieszczenia urzędowe: Rozkazy Głównego Komendanta policji państwowej. — Herman Czerwiński: Plaga złodziejstwa. — Rozkazy Komendanta st. m. Warszawy. — Głosy prasy. — Policja o sobie. — Działalność policji. — Kusiele. — Ofiary. — Kronika. — Z tygodnia. — Ogłoszenia. — Pamiętniki Gorona. — Dodatek ilustracyjny.